

TEATR WIELKI W ŁODZI

WALERIAN BIERDIAJEW in memoriam

KONCERT
w 30. rocznicę śmierci

Niedziela 28 września 1986



Było to w roku 1966. Ze Zdzisławem Dworzeckim i Zbigniewem Napierałą byliśmy wówczas studentami i idąc w Poznaniu do radia na kolejne nagranie tygodniówki „Margines muzyczny” spotkaliśmy na ulicy Antoninę Kawecką, która spytała: Co dziś nagrywacie chłopcy? Byliśmy wówczas jedynymi w Poznaniu, którzy w swej studenckiej audycji zauważyli 10-lecie śmierci Waleriana Bierdiajewa. Na wiadomość o tym gwiazda westchnęła i rzekła: Mój Boże, to już 10 lat go nie ma!

Uczniowie i wychowankowie Waleriana Bierdiajewa myśleli kiedyś, że ich Mistrz żył będzie wiecznie. Jego epoka w Poznaniu trwała lat pięć, ale w legendzie przetrwa jeszcze niejedno pokolenie artystów i miłośników polskiej opery. Potem skuszono go tzw. przejściem do Warszawy. Tu zaczęło się wszystko, co najgorsze. Premiera „Damy Pikowej”, która Bierdiajewowi przynosiła zawsze pecha, podział i rozdzwięk w zespole między tzw. warszawiakami i ekipą przybyłą z Poznania, rozczarowanie i rozgoryczenie dyrektora nielojalnością i brakiem wierności kilku wybitnych artystów-wychowanków, wreszcie niewybredne ataki prasowe inspirowane przez kilku dawnych domowników. Potem już tylko choroba, szpital, śmierć i ten testament...

Dziś mija 30 lat od tamtego czasu. Postanowiliśmy zwołać artystyczne dzieci i wnuki Waleriana Bierdiajewa na teren neutralny, do Teatru Wielkiego w Łodzi. Kiedy odchodził Opera Łódzka dopiero się rodziła. Dziś z perspektywy lat trzydziestu, czcząc pamięć tego wielkiego kreatora narodowej opery spójrzmy wspólnie wstecz i zastanówmy się, czy obecnie nasza sztuka operowa stoi równie wspaniałymi postaciami jak Walerian Bierdiajew.

Kawonin Pietras

Sława jest bardzo krucha i krótkotrwała! Wieko trumny zapada jak kurtyna po przedstawieniu, po którym ludzie rozchodzą się do domów i zapominają. Dla obecnych absolwentów polskich wydziałów dyrygentury zaczyna być martwą literą nazwisko Waleriana Bierdiajewa, a przecież odszedł niezbyt dawno, muzykiem będąc wybitnym i człowiekiem ogromnych zasług, szczególnie jako pedagog. Mało znam nauczycieli, którzy zostawiliby po sobie równie dużą ilość uczniów znakomicie przygotowanych do zawodu. I utalentowanych, a talent odkryć i pielęgnować musi profesor! Artur Malewski, Bohdan Wodiczko, Jan Krenz, Henryk Czyż, Stefan Stuligrosz, Stanisław Skrowaczewski — wszyscy oni wyszli z klasy „Dziadźki”, jak zwano poufale profesora Bierdiajewa. A nazywali go tak, bo urodził się w Grodnie, dyrygenturę studiował w Lipsku u Nikischa, ale później lat około piętnaście przebywał w Rosji, przez kilka jako dyrygent sławnego Teatru Maryjskiego w Petersburgu. W Polsce pod jego batutą debiutowali tej najwyższej miary śpiewacy co Adam Didur, Ignacy Dygas, zaś — już po II wojnie światowej — Opera Poznańska zawdzięczała dyrekcji Waleriana Bierdiajewa okres artystycznego renesansu. Żonę wszakże przywiózł sobie „Dziadźka” z Rosji, i z tego wszystkiego powstał używany przez małżeństwo język, mieszanka litewsko-rusko-polska. Oboje państwo Bierdiajew byli ludźmi w szczególny sposób zabawnymi, więc też krążyło o nich dużo różnych anegdot. Jedna zrodziła się w mojej obecności: dyrektor Bierdiajew zaprosił mnie pewnego dnia na kolację, obfitą, wystawną, której daniem centralnym, jakby brylantem w otocze ze szmaragdów, była — gęś. Kiedy więc zjadłem jedną porcję, pani Bierdiajewowa podsunęła półmisek i rzekła: „Pan redaktor! Niech pan jeszcze weźmie ta huś”. Na co odparł Bierdiajew: „Maja daraga! Pa polsku nie mówi sia huś, odno guś”. Wtedy pani z dumą spojrzała na mnie, wskazała męża i krzyknęła: „Wot, Mickiewicz!”

„... po roku studiów portier nie wpuścił mnie do gmachu PWSM, oznajmiając, że zostałem skreślony z listy studentów. Czekałem przy wejściu na Bierdiajewa. W drzwiach ukazała się najpierw pomarszczona, antypatyczna mordka pekińczyka Czangi, potem długa smycz i w końcu królewska postać i lwia głowa Bierdiajewa.

— Panie profesorze...

— No, cóż takiego? Ja mówił ciębie: będziesz jeździć dyrygować do Bydgoszczy, na lekcje nie przychodzić, wyrzucę. Pojechał? No, tak i wyrzucił... Cicha, Czanga, cicha... — pekińczyk szczekał wrednie i piskliwie.

Przy protekcji profesora Szeligowskiego (...) i przy solennym przyrzeczeniu, że „już nigdy...”, wróciłem do uczelni i z czasem stałem się nawet pupilem Bierdiajewa, potem jego asystentem w szkole i dyrygentem w prowadzonej przez niego Operze Poznańskiej.

Nawet pani Lula, małżonka mistrza, mówiła do mnie pochlebnie:

— Pan bardzo sympaticzny, ależ nie w moim tipie.

Uśmiechałem się przymilnie.

Ostrą u Bierdiajewa dostałem szkołę.

— Nie, Gienia! (Henryk = Gienryk, Henio = Genia) Nie, Gienia! Ty jeszcze Brahmsa dyrygować nie będziesz. Może za pięć lat, a może i za dziesięć. Toż to u ciebie nie Brahms. A zapamiętajcie, diety, na całe życie: Brahms biez Brahmsa, to nie jest Brahms!

Rozumieliśmy, że chodzi o wewnętrzny spokój i powagę, o brode Brahmsa, o dostojeństwo tej muzyki.

(...)

Po południu dzwoni do mnie Bierdiajew:

— Gienia! Źle się czuję. Znaczy, „Galku” dziś będziesz dyrygował ty.

— A próba? Panie profesorze, przecież to mój debiut...

— Nu, nie taki tam i debiut. A u nas będzie tak: próbować będę ja, a dyrygować ty, ale tylko czasem.

A był to rok 1952, gdy przy kasie operowej ludzie stali w kolejkach od piątej rano, by dostać się na spektakle, które prowadził Bierdiajew.

Kiedy tego wieczora wypełniona sala oczekiwała na wejście mistrza, woźny przytrzymał mnie przy wejściu do orkiestronu jak cyrkowego konia, a z głośnika rozległ się nosowy głos: „Dzisiaj przedstawieniem z powodu choroby dyrektora Bierdiajewa dyryguje Henryk Czyż”.

Z sali doszedł mnie głośny jęk zawodu i stanąłem przy pulpicie.

Poszło nadspodziewanie dobrze i Bierdiajew oddał mi wszystkie „Halki”. Kiedyś po przedstawieniu wezwał mnie do gabinetu:

— Słuchaj, Gienia! U mnie „Galka” kończyła się za pięć dziesiątą. A terazże pół do dziesiątej i ty już po wszystkim. Znaczy, co? Znaczy tempa u ciebie za szybkie. No idź, dziecka, idź — poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu.

Na następnych przedstawieniach próbowałem trochę zwolnić, ale tempa „Dziadzi” były niemożliwe dla mego wieku i temperamentu i nieświadomie zacząłem dyrygować, jak mi serce dyktowało.

Zapomniałem już o naszej poprzedniej rozmowie i znów wezwany do jego gabinetu spodziewałem się tylko kolejnych zleceń korepetytorskich. (W owych czasach w Operze Poznańskiej wszyscy dyrygenci pracowali również jako korepetytorzy.) Zapukałem, grzecznie się ukloniłem uśmiechając mile. Bierdiajew spojrzał na mnie spode łba.

— Dobry wieczór panu — powiedział cicho, co było oznaką strasznego gniewu. Zadrżałem. On popatrzył na zegarek, wstał, ryknął: — Która godzina? — i wskazał mi drzwi.

Było pół do dziesiątej.

Henryk Czyż

„Ucieczka spod klucza” (fragment)

Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa 1973

Panowanie Bierdiajewa było okresem nieustannego powodzenia Opery Poznańskiej. Ludziska dobijali się tygodniami o bilety do teatru pod Pegazem. Ale też „Dziadzio” dbał o swoich solistów i publiczność czuła, że każdy spektakl jest „wycackany”, czyli obsadzony z największą troską o artystyczny poziom. Omal co wieczora schodzili się śpiewacy na pogawędkę do mieszkania dyrektora, które stało dla nich otworem. Bierdiajewowie zajmowali ogromny apartament przy ulicy Zeylanda (dawna Przecznicza). Jako bezdzietni, całą — przecie nie małą — pensję przeznaczali na zakup perskich dywanów, antycznych mebli, drogich lamp i dobrej, starej porcelany. Swój majątek kilkakrotnie zapisywali różnym zaprzyjaźnionym artystom. Jednak wnet, zrażeni jakimś głupstwem lub nietaktem, wycofywali darowiznę. Opowiadała mi pani Lula, jak to „straciła całe serce” dla Sergiusza Adamczewskiego, gdy pewnego razu przeszedł przez jej sypialnię, odziany tylko w skąpe slipy. (...) Z ulubienicą Basią Kostrzewską pokłócili się staruszkowie, bo śmiała wystąpić na koncercie z kimś, kogo bardzo nie kochali. I tak kaprysili bez końca. (...)

(...) w iście pałacowym otoczeniu poznańskim przy Zeylanda królowała pani Żenia, nieduża, ładna blondynka, o granatowych oczach, córka ongi właściciela kopalni nafty w Baku. (...) Często wała gości wymyślnymi potrawami, zakrapianymi pysznym moskiewskim muskatem. Gdy nie było co podać na stół, wysyłała totumfackiego barytona — Włodka Chomiaka po ciastka do „Cristalu”, a tenora Adama Łukasika po papierosy do kiosku. (...) Żenia doskonale potrafiła zabawiać cały stół. Dużo sama gadała, aby nie odpowiadać na pytania, bo słuch zawodził. Nosila wprawdzie aparat, lecz nie zawsze prawidłowo funkcjonujący. Albo godzinami przekomarzała się z mężem. Oboje stanowili nieodłączną i kochającą się parę. (...)

Ponad wszystkimi w tym towarzystwie górowała indywidualność pana domu. Ogromny jak niedźwiedź, barczysty, siwawy, był towarzysko naprawdę przemiły. Pochodził z Białostoczczyzny. Studia dyrygenckie odbywał pod kierunkiem samego Artura Nikischa, wieloletniego szefa „Gewandhaus” w Lipsku. Tamże pan Walerian debiutował „Onieginem”. W Teatrze Maryjskim Petersburga wystawił „Halkę”. W latach międzywojennych mieszka w Warszawie, gdzie koncertuje i wykłada w konserwatorium. O owym czasie królem batuty jest w stolicy Grzegorz Fitelberg, w którego cieniu pozostawał Bierdiajew (i zresztą wszyscy inni). Dopiero po II wojnie wypływa nasz dyrektor. Zajmuje kierownicze stanowiska w Krakowie, Poznaniu i Warszawie. Znowu uczy. Do najlepszych pupi-

łów zalicza Malewskiego, Wilczaka, Krenza, Wodiczkę, Czyża i Stuligrosza.

Chętne i długie opowieści snuł „Bierdiaszka” o tych swoich „dzieciach”. Albo analizował ważniejsze spektakle poznańskie. Dyskutował na temat obsady. (...)

Gdy gościnni gospodarze — po jakiejś ważniejszej premierze — podawali mocniej zakrapianą nalewkę, towarzystwo ogarniał nastrój bachiczny. Byłem kiedyś uczestnikiem takich szaleństw. Wszyscyśmy beztrąsko skakali i śpiewali. A tancerka Henryka Eitnerówna, bardzo poznańskim akcentem, zawodziła piskliwie swą ulubioną melodyjkę: „Car Mikołaj wydał manifest...” Dziadzio tylko śmiał się i dobrotliwie dogadywał:

— Heniuszka, nie zapominaj, że jesteś w salonie u dyrektora...

Forytował Wala talenty Kostrzewskiej, Klonowskiego, Domienieckiego, Kossowskiego i Woźniczki, stąd potocznie nazywanych w teatrze „pułapowcami”. Chociaż bądźmy sprawiedliwi! Przecie równocześnie lansował także Kawecką, Kurowiak, Sypniewską, Sowińską, Charłampowicz, Latoszewską, Mariańskiego, Iwańkowicz i tylu innych. Miał dobre rosyjskie serce i wyjątkową uczuciowość. Podczas recitalu Wandy Wermińskiej siedziałem w auli UAM obok pana Waleriana i widziałem, że płakał jak bóbr, poruszony ekspresją śpiewu tej znakomitej primadonny, która po wojnie już w naszej operze nie występowała. (...)

W salonie tak ujmujący i swoiście dowcipny, zmieniał się Bierdiaszka w groźnego lwa — przy pulpicie. Każdy z solistów musiał ciągle uważać na pałeczkę tyrańca nie znoszącego najlżejszego uchybienia w rytmie. Stąd wieczne zatargi z reżyserami, pragnącymi śpiewaków jakoś rozkręcić aktorsko. A Dziadzio wtedy aż ryczał ze złości! Nawymyślał solistom, ile wlaźło, aby ich potem uściskać i przeprosić. Pamiętam podczas próby „Borysa”, gdy ulubieniec — Domieniecki kilkakrotnie źle wchodził ze swoją frazą, śpiewając: „Jam wasz car...” Bierdiajew aż kipiał gniewem, wreszcie za trzecim niedobrym nawrotem Wacusia, zakrzyczał z furją:

— D... nie car!

(...)

...dłuższą chwilę gawędziliśmy z dyrektorem na temat zbliżającej się premiery. Aliści wchodzi Jola ze słowami:

— Czeka kilkusobowa delegacja z Konina. Chodzi o jakiś ważny koncert.

Bierdiajew mruga do mnie przyjaźnie:

— Niechże pan na minotoczku posiedzi przy bocznym stoliku. Wnet ich załatwię.

Wchodzą jegomościowie na czarno ubrani. Miny uroczysto-dęte. Proszą o zwolnienie Barbary Kostrzewskiej i Józefa Prządy, którzy „mają uświetnić” zbliżającą się akademię. Dyrektor odpala z miejsca:

— Nu, a ja wam Basi wsiotaki nie dam! — I zaglądając do kalendarza, stojącego na biurku, uzupełnia z powagą: — Ona togda będzie miała pierwszy dzień kobiecej słabości. Nu, wot...

Skonsternowani delegaci zapłonęli rumieńcem. Nie wiedzą, co odpowiedzieć. Spostrzegając to, Wala dodaje chytrze lecz pocziwie:

— Dostaniecie Basię, lecz nie Kostrzewską, tylko Sypniewską. Niewiele gorsza, a nawet grubsza... Zaś Józio na pewno przyjedzie i zaśpiewa Wasię-Pancerniaka. A? Będziecie oczeń kontenci.

Nadmiemy, że Kostrzewska miała wówczas szalone powodzenie. Prawie codziennie gdzieś występowała. (...) A Dziadzio, aby ratować głos swojej primadonny przed męczącymi chałturami, stale ją wybraniał — wszystkich mocno szokującą opowieścią o „pierwszym dniu”. (...)

Nie zapomnę jeszcze innej sceny. Próba generalna do „Śnieżynki”. Sala pełna, za biletami ulgowymi dla personelu Opery i rodzin. Po żywiołowym tańcu skomorochów (...) następuje „luftpauza”. W tej chwili dobry Bierdiaszek odwraca się do audytorium z głośnym zapytaniem:

— Liula, kak się czujesz? — Żona ledwie zdążyła odpowiedzieć: — Charaszo — i już przedstawienie leciało dalej.

Dyrektor dość często stawał przed pulpitem. Oprócz wspomnianych pozycji rosyjskich, które adorował z nabożeństwem, chętnie prowadził „Galkę” (jak mówił), „Straszny dwór” i „Traviatę”. Preferował szybkie tempa orkiestry, zawsze jednak podporządkowanej śpiewakowi. Wszystko w tym ujęciu skierowane było tak, aby ukazać solistę w najkorzystniejszych warunkach. Każde pianissimo musi koniecznie słyszeć widownia. Przepięknie brzmiał na przykład akt chóralski „Halki”, rozumiany niby wzniosłe oratorium. Tylko raz jeden wystąpił u nas pan Walerian z koncertem symfonicznym, prowadząc „Patetyczną” Czajkowskiego, „Ekstazę” Skriabina i „Świt nad Moskwą” Musorgskiego. Ile wyrazu emocjonalnego miał artysta w swej batucie. I jaką umiejętność oddziaływania na słuchaczy! Niektóre frazy głośno podśpiewywał instrumentom. To znowu kierował tylko lewą ręką. Natomiast prawą ręką przytykał do ust szklanekę wody, która zawsze stała na pulpicie.

Kazimierz Nowowiejski
„Pod zielonym Pegazem” (fragmenty)
Wydawnictwo Poznańskie, 1971

CZĘŚĆ I

Stanisław Moniuszko
HALKA
Uwertura

ORKIESTRA
Dyryguje
TADEUSZ KOZŁOWSKI

Tadeusz Szeligowski
BUNT ŻAKÓW
Aria Konopnego

JAN KUNERT

Stanisław Moniuszko
HALKA

aria „Gdyby rannym słońkiem” JOANNA MIKA-CORTÉS

STRASZNY DWÓR
duet Macieja i Skołuby

WŁADYSŁAW MALCZEWSKI
ANDRZEJ MALINOWSKI

Piotr Czajkowski
DAMA PIKOWA
aria Lizy z III aktu
„Już północ zbliża się”

ELŻBIETA NIZIOŁOWA

Richard Wagner
LOHENGRIN
aria Elzy z I aktu

EWA KARAŚKIEWICZ

CZĘŚĆ II

Giuseppe Verdi
TRAVIATA
Wstęp do I aktu

ORKIESTRA
Dyryguje
TADEUSZ KOZŁOWSKI

Duet z I aktu

JOANNA WOŚ
RYSZARD WRÓBLEWSKI

Georges Bizet
CARMEN
aria Micaeli

DELFINA AMBROZIAK

Modest Musorgski
BORYS GODUNOW
monolog Borysa z I aktu

WŁODZIMIERZ ZALEWSKI

Akt IV, scena 1
Borys Godunow
Szujski
Nikołka, „nawiedzony”
Mitiucha

WŁODZIMIERZ ZALEWSKI
TADEUSZ KOPACKI
JERZY RYNKIEWICZ
RYSZARD CZOGAŁA
CHÓR • CHÓR DZIECIEŃCY

Piotr Czajkowski
EUGENIUSZ ONIEGIN
aria Gremina

ROMUALD TESAROWICZ

Mikołaj Rimski-Korsakow
ŚNIEŻYNKA
aria Śnieżynki

ROMA OWSIŃSKA

Piotr Czajkowski
VI SYMFONIA „Patetyczna”

Dyryguje
HENRYK CZYŻ

Dyryguje — TADEUSZ KOZŁOWSKI

Gospodarz Wieczoru — SŁAWOMIR PIETRAS

ZAPROSZENI GOŚCIE HONOROWI

ALINA BOLECHOWSKA
BOŻENA BRUN-BARAŃSKA
DOROTA CEREMAK
ZOFIA CZEPIELÓWNA
HALINA DUDISZ-LATOSZEWSKA
MARIA FOŁTYN
ANTONINA KAWECKA
BARBARA KOSTRZEWSKA
FELICJA KUROWIAK
JADWIGA MUSIELEWSKA
WANDA WERMIŃSKA
HENRYKA ZALEWSKA
JANINA ZALEWSKA
JULIUSZ BIEŃKOWSKI
HENRYK CZYŻ
WACŁAW DOMIENIECKI
BOLESŁAW JANKOWSKI
TOMASZ KIESEWETTER
EDMUND KOSSOWSKI
JAN KRENZ
IGOR MIKULIN
JÓZEF PRZĄDA
STEFAN STULIGROSZ

Wydawca — Teatr Wielki w Łodzi

Nakład — 600 egz.

Cena 30 zł